Bezimienne twarze mgłą osnute,
plecy ich spojrzeniami nieustannie kłute.
Ciągle w pobliżu, lecz zawsze z dala,
który z bogów na cierpienia te przyzwala?

Szepty, śmiechy, drwiny,
jadowite usta zarzucające cudze winy.
Zawsze samotny, choć wśród innych,
nieustannie szukających winnych.

Rzucany na kolana obcą wolą,
pełne blizn ciało znów batożą.
Ku śmierci oczy swe znów zwraca,
jedynej która w błogim śnie zatraca.

Drzew martwych korony krwią broczą,
starym torem się losy wygnańca toczą,
pełnym bólu, apatii i agonii,
nie ma sił na podniesienie broni.

Z osnowy mroku twarz się wyłoniła,
nad losem odrzuconego się pochyliła.
Szczerym uśmiechem mrok rozmyła,
demony duszy udręczonej zabiła.

Jak wszyscy jednak zdradziła,
w objęcia śmierci ponownie wpędziła.
Poprowadziła mimowolnie ku otchłani,
nad którą wszyscy stajemy sami.

Mój Bóg opuścił już to piekło,
Zwiotczałe ciało nad przepaść się dowlekło.
Rozdzierające serce krzyki dręczą moją duszę,
Jeden tylko krok uczynić jeszcze muszę.